

## KRAWAT Z JEŻOZWIERZEM

Kiedy byłem mały, mój wujek Pete miał krawat z namalowanym jeżozwierzem. Uważałem ten krawat za najładniejszą rzecz na świecie. Wujek Pete stał często cierpliwie przede mną, a ja głaskałem palcami jedwabną powierzchnię i bałem się, żeby się nie ukłuć. Kiedyś pozwolił mi go założyć. Długo szukałem podobnego krawata dla siebie, ale bez powodzenia.

Miałem dwanaście lat, gdy przeprowadziliśmy się z Pensylwanii do Arizony. Kiedy wujek Pete przyszedł się pożegnać, miał ten krawat na sobie. Pomyślałem, że zrobił to, abym mógł po raz ostatni na niego popatrzeć, i byłem mu wdzięczny. Ale nagle wujek dramatycznym gestem ściągnął krawat i zawiązał mi wokół szyi.

— Jest twój — powiedział. — Prezent na pożegnanie.

Ten krawat z jeżozwierzem podobał mi się tak bardzo, że postanowiłem zapoczątkować kolekcję. W dwa lata po przeprowadzce do Arizony moja kolekcja nadal składała się z jednego krawata. Czy w ogóle można znaleźć krawat z jeżozwierzem w miasteczku Mica w Arizonie — albo w jakimkolwiek innym miejscu?

W dniu moich czternastych urodzin przeczytałem notatkę na swój temat w miejscowej gazecie. Dział rodzinny zamieszczał artykuły o dzieciach z okazji ich urodzin, a moja matka dostarczyła im informacji. Ostatnie zdanie

brzmiało: „Hobby Leo Borlocka to kolekcjonowanie krawatów z jeżozwierzem”.

Kilka dni później, wracając ze szkoły, znalazłem plastikową torbę na stopniu przed frontowymi drzwiami. W środku znajdowała się paczka zawinięta jak prezent, przewiązana żółtą wstążką. Na karteczce było napisane: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!”. Otworzyłem paczkę. To był krawat. Dwa jeżozwierze rzucały na nim swoimi kolcami jak strzałkami, podczas gdy trzeci dłubał sobie w zębach.

Obejrzałem dokładnie pudełko, karteczkę, papier. Nigdzie nie znalazłem nazwiska ofiarodawcy. Pytałem rodziców. Pytałem przyjaciół. Zadzwoniłem do wujka Pete’a. Wszyscy zgodnie twierdzili, że nic nie wiedzą.

Wówczas uznałem to zdarzenie za zagadkowe. Nie przyszło mi do głowy, że jestem obserwowany. Wszyscy byliśmy obserwowani.

# 1

— Widziałeś ją?

To były pierwsze słowa, jakie Kevin skierował do mnie pierwszego dnia szkoły, w trzeciej klasie liceum. Czekaliśmy, aż zadzwoni dzwonek.

— Kogo? — spytałem.

— Ha! — Wyciągał szyję, przeszukując wzrokiem tłum. Był świadkiem czegoś niezwykłego; miał to wypisane na twarzy. Wyszczerył zęby, dalej się rozglądając. — Sam zobaczysz.

Były nas tam setki, kłębiliśmy się beładnie, nawoływaliśmy po imieniu, wskazywaliśmy palcami na opalone twarze, których nie widzieliśmy od czerwca. Nasze wzajemne zainteresowanie sobą nigdy nie było żywsze niż w ciągu tych piętnastu minut przed pierwszym dzwonkiem po wakacjach.

Klepnąłem go w ramię.

— Kogo?

Zadzwonił dzwonek. Wtoczyliśmy się do środka.

Usłyszałem to ponownie w auli. Gdy powtarzaliśmy słowa przysięgi na wierność sztandarowi, jakiś głos wyszeptał za mną:

— Widziałeś ją?

Słyszałem to na korytarzach. Słyszałem to na angielskim i na geometrii:

— Czy ją widziałeś?

Kto to mógł być? Nowa uczennica? Zjawiskowa blondynka z Kalifornii? Czy może ktoś ze Wschodniego Wybrzeża, skąd pochodzi większość z nas? Czyżby to było jedno z tych letnich przeobrażeń, i uczennica, która w czerwcu wyglądała jak mała dziewczynka, powróciła we wrześniu jako pełna powabu kobieta — cud dziesięciu tygodni?

I wtedy na geografii usłyszałem imię: „Gwiazda”.

Odwróciłem się do chłopaka z ostatniej klasy pochylającego się do mnie.

— Gwiazda? — zapytałem. — Co to za imię?

— No właśnie. Gwiazda Caraway. Tak powiedziała w auli.

— Gwiazda?!

— Tak.

A potem ją zobaczyłem. W stołówce. Miała na sobie suknię w kolorze złamanej bieli, tak długą, że zasłaniała buty. Wokół szyi i mankietów znajdowały się koronki, a cała suknia mogłaby być suknią ślubną jej prababci. Włosy Gwiazdy, opadające luźno na ramiona, miały kolor piasku. Przewiesiła coś przez plecy, ale to nie była torba z książkami. W pierwszej chwili myślałem, że to miniaturowa gitara. Później dowiedziałem się, że ukulele.

Nie niosła tacy z drugim śniadaniem. Niosła natomiast dużą brezentową torbę, na której namalowany był słonecznik naturalnej wielkości. Gdy szła, w stołówce panowała martwa cisza. Zatrzymała się przy wolnym stole, położyła torbę, powiesiła instrument na oparciu krzesła i usiadła. Wyciągnęła z torby kanapkę i zaczęła jeść.

Połowa ludzi w stołówce nadal się gapiła, druga połowa zaczęła szemrać.

Kevin uśmiechał się szeroko.

— A nie mówiłem?

Przytaknąłem.

— Jest w drugiej klasie — powiedział. — Podobno przedtem uczyła się w domu.

— Może to coś wyjaśnia — dodałem.

Siedziała do nas plecami, nie widziałem jej twarzy. Nikt koło niej nie usiadł, za to przy sąsiednich stołach dzieciaki tłoczyły się po dwoje na jednym krześle. Zdawała się tego nie zauważać. Wydawała się rozbitkiem na morzu spojrzeń i szeptów.

Kevin znowu szczyrzył zęby.

— Myślisz o tym samym, co ja?

Uśmiechnąłem się do niego. Skinąłem głową.

— „Gorący fotel”.

„Gorący fotel” to był program naszej wewnętrznej szkolnej telewizji. Zaczęliśmy go emitować w zeszłym roku. Ja byłem producentem i reżyserem, a Kevin prowadzącym. Co miesiąc przeprowadzał wywiad z uczniem. Do tej pory większość gości stanowili dobrzy uczniowie, sportowcy, tak zwani porządni obywatele. Wartościowi, ale niezbyt interesujący.

Nagle oczy Kevina wyszły z orbit — dziewczyna wzięła swoje ukulele i po chwili zagrała. W dodatku zaczęła nawet śpiewać! Brzdąkała, potrząsała głową i ramionami i śpiewała: „Szukam czterolistnej koniczyny, której wczoraj nie znalazłam”. Zapadła martwa cisza. W końcu rozległy się pojedyncze oklaski. Obejrzałem się. Klaskała kajsjerka ze stołówki.

Teraz dziewczyna wstała i z torbą przewieszoną przez jedno ramię, ruszyła między stoliki, brzdąkając i śpiewając, to krocząc dostojnie, to znów wykonując taneczne pas. Wszyscy odwracali głowy, wodzili za nią oczami, otwierali szeroko usta z niedowierzaniem. Kiedy przeszła obok naszego stolika, po raz pierwszy dobrze przyjrzałem się jej twarzy. Nie była ani piękna, ani brzydka. Smużka piegów przecinała jej nos. Wyglądałaby właściwie jak setka innych dziewcząt w szkole, gdyby nie dwie rzeczy. Nie

miała odrobiny makijażu, a tak wielkich oczu jeszcze w życiu nie widziałem, wyglądały jak oczy łani złapane w światło reflektorów. Zrobiła obrót, przechodząc obok nas, a jej rozkloszowana spódnica otarła się o nogawki moich spodni. Potem wymaszerowała ze stołówki.

Od stolików dobiegły pojedyncze niespieszne oklaski. Ktoś zagwizdał. Ktoś inny coś wykrzyknął.

Kevin i ja gapiliśmy się na siebie.

Kevin podniósł ręce do góry i zakreślił w powietrzu kształt afisza.

— „Gorący fotel”. Niebawem atrakcja — Gwiazda!

Klepnąłem dłonią w stół.

— Tak!

Przybiliśmy piątkę.

## 2

Kiedy nazajutrz dotarliśmy do szkoły, Hillari Kimble miała dyżur przy drzwiach.

— Ona udaje — powiedziała, uśmiechając się szyderczo. — Zgrywa się. To jakiś przekręt.

Ktoś zawołał:

— Kto nas robi w konia?

— Zarząd. Dyrektor. Ktokolwiek. Czy to ważne? — Hillari pokręciła głową nad absurdalnością tego pytania.

Jakaś ręka wystrzeliła w powietrze.

— Ale dlaczego?

— Brak ducha — odszczeknęła Hillari. — Oni sądzą, że ta szkoła była w zeszłym roku jak martwa. Myślą, że jak naślą na uczniów jakiegoś świrusa...

— Tak jak nasyłają na szkoły kapusiów! — krzyknął ktoś inny.

Hillari spiorunowała go wzrokiem, po czym mówiła dalej:

— ...jakiegoś świrusa, który wywoła tu poruszenie, to może wszyscy grzeczniutko zaczną chodzić na mecze albo zapiszą się do klubu.

— Zamiast obściskować się w bibliotece! — dorzucił ktoś inny. Wszyscy się roześmiali, zadzwonił dzwonek i weszliśmy do środka.

Teoria Hillari Kimble rozprzestrzeniła się po szkole i została ogólnie zaakceptowana.

- Myślisz, że Hillari ma rację? — zapytał mnie Kevin.
- Gwiazda jest wtyką?
- Zachnąłem się.
- Co ty wygadujesz?
- Rozłożył ręce.
- No co?
- To jest liceum w Mica — przypomniałem mu — a nie operacja CIA.
- Może nie — powiedział. — Ale mam nadzieję, że Hillari się nie myli.
- Dlaczego masz taką nadzieję? Jeśli naprawdę nie jest uczennicą, nie możemy jej zaprosić do „Gorącego fotela”.
- Kevin pokiwał głową i uśmiechnął się szeroko.
- Jak zwykle, panie reżyserze, nie widzisz całości. Wykorzystajmy program, żeby ją zdemaskować. Nie rozumiesz? — Zakreślił w powietrzu kształt afisza. — „Gorący fotel” ujawnia mistyfikację grona pedagogicznego!
- Utkwiłem w nim wzrok.
- Chciałbyś, żeby nie była prawdziwą uczennicą, co? Uśmiechnął się od ucha do ucha.
- No pewnie. Nasze notowania podskoczą do nieba!

Muszę przyznać, że im częściej ją widywałem, tym bardziej chciało mi się wierzyć, że jest wtyką, czymś żartem, kimś nierealnym. Na drugi dzień przyszła w jasnoczerwonych workowatych ogrodnickach — z klapką z przodu i na szelkach. Jej piaskowe włosy były zaplecione w dwa cienkie mysie ogonki, każdy zawiązany jasnoczerwoną kokardą. Smużki róży zdobiły policzki, a kilka większych piegów na twarzy było nawet przypudrowanych. Wyglądała jak Heidi\*. Albo Bo Peep\*\*.

---

\* Dziewczynka, która jest bohaterką książki dla dzieci pt. *Heidi* napisanej przez Johannę Spyri (1827–1901). (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

\*\* Postać z wierszyka dla dzieci. Pastereczka, która szuka zaginionej owieczki.

W stołówce znowu siedziała sama przy stoliku. Podobnie jak poprzedniego dnia, gdy skończyła jeść, wzięła do ręki ukulele. Ale tym razem nie zagrała. Wstała i zaczęła się przechadzać między stolikami. Wpatrywała się w nas, we wszystkich po kolei. Było to zuchwałe, uporczywe spojrzenie, jakiego raczej nie kieruje się do ludzi, których się nie zna. Wyglądało na to, że kogoś szuka, i na sali zapanował niepokój.

Kiedy podchodziła do naszego stolika, pomyślałem: „A jeśli szuka mnie?”. Ta myśl mnie przeraziła. Odwróciłem głowę i spojrzałem na Kevina. Uśmiechał się w jej stronę głupawo. Kiwnął do niej i wyszeptał: „Cześć, Gwiazdo”. Nie usłyszałem odpowiedzi. Byłem całkowicie zaabsorbowany tym, że przechodzi za moim krzesłem.

Zatrzymała się dwa stoliki dalej. Uśmiechała się do rozlazłego chłopaka z ostatniej klasy, który nazywał się Alan Ferko. W stołówce zapanowała martwa cisza. Zaczęła brzdąkać na ukulele i śpiewać. To było „Happy Birthday”. Kiedy doszła do imienia, nie poprzestała na samym imieniu, ale wymieniła też nazwisko:

— „Happy Birthday, drogi Alanie Fer-koool!”.

Twarz Alana Ferko zrobiła się czerwona jak kokardy na mysich ogonkach Bo Peep. Rozległy się gwizdy i wycia, bardziej dla dodania otuchy Alanowi Ferko, jak sądzę, niż pod jej adresem. Gdy Gwiazda wymaszerowała, zauważyłem, że na drugim końcu stołówki Hillari Kimble wstaje od stołu, wygraża palcem i mówi coś, czego nie mogłem usłyszeć.

— Coś ci powiem — powiedział Kevin, kiedy dołączyliśmy do tłumu na korytarzu — lepiej dla niej, żeby to była zgrywa.

Zapytałem go, co ma na myśli.

— Chodzi o to, że jeśli nie udaje, to marny jej los. Jak długo może tu przetrwać ktoś, kto jest taki naprawdę?

Dobre pytanie.

Liceum w Mica nie było w istocie kolebką nonkonformizmu. Tu i tam spotykało się oczywiście indywidualistów, ale raczej wszyscy ubieraliśmy się tak samo, mówiliśmy w ten sam sposób, jedliśmy to samo, słuchaliśmy takiej samej muzyki. Nawet nasze oferny i łajzy miały stempel liceum w Mica. Jeśli zaczynaliśmy się w jakiś sposób wyróżniać, to szybko wracaliśmy na swoje miejsce, jak sprężynka.

Kevin miał rację. Było nie do pomyślenia, aby Gwiazda mogła między nami przetrwać i się nie zmienić. Ale było również jasne, że Hillari Kimble miała rację przynajmniej w połowie: ta dziewczyna, która sama siebie nazywała Gwiazdą, mogła, ale nie musiała, być osobą nasłaną przez dyrekcję dla podbudowania ducha szkoły. Jednak kimkolwiek była, na pewno udawała.

Nie mogło być inaczej.

Kilka razy w tych pierwszych tygodniach września pokazała się w szkole w czymś szokującym. Śmiała suknia z lat dwudziestych. Indiańskie spodnie z kozłej skóry. Kimono. Pewnego dnia miała na sobie dżinsową spódniczkę mini i zielone pończochy, a po nodze pełzała parada namalowanych lakierem biedronek i przypiętych motylków. Dla niej „normalnym” ubiorem były długie, omiatające ziemię suknie i spódnice wzorowane na pionierach.

Co kilka dni śpiewała kolejnej osobie w stołówce urodzinową serenadę. Na szczęście moje urodziny przypadały w lecie.

Na korytarzu pozdrawiała osoby, których w ogóle nie знаła. Uczniowie starszych klas nie mogli się nadziwić. Nigdy dotąd nie spotkali tak zuchwałej uczennicy drugiej klasy.

Na lekcjach ciągle podnosiła rękę do góry i zadawała pytania, które jednak często nie miały związku z tematem. Pewnego dnia zapytała o trolle — na lekcji historii Stanów Zjednoczonych!

Wymyśliła piosenkę o trójkątach równoramiennech. Śpiewała ją na lekcji geometrii. Miała ona tytuł: „Mam trzy boki, lecz równe tylko dwa”.

Zapisała się do drużyny biegaczy przełajowych. Nasze treningi odbywały się na polu golfowym klubu sportowego w Mica. Czerwone chorągiewki pokazywały zawodnikom kierunek trasy. Na pierwszym treningu skręciła w lewo na samym środku pola, podczas gdy pozostali zawodnicy skręcili w prawo. Czekali na nią na linii mety. W ogóle się nie pojawiła i została wykluczona z drużyny.

Pewnego dnia jakaś dziewczyna podniosła krzyk na korytarzu. Ujrzała drobny brązowy pyszczek wystający z brezentowej torby Gwiazdy, ozdobionej słonecznikiem. Był to jej oswojony szczur. Codziennie wędrował w torbie do szkoły.

Pewnego ranka lunął nagle rzadki u nas ulewny deszcz. Miała właśnie lekcję wychowania fizycznego. Nauczycielka kazała wszystkim wejść do środka. Idąc na następną lekcję, zerkali przez okna. Gwiazda nadal była na dworze. Tańczyła w deszczu.

Chcieliśmy ją zdefiniować, przyczepić jej etykietkę, tak jak to zrobiliśmy ze wszystkimi, ale nie potrafiliśmy wymyślić nic innego jak „dziwaczna”, „nienormalna” i „durna”. Jej sposób bycia zbijał nas z tropu. W powietrzu wisało pytanie:

**CO TO WSZYSTKO ZNACZY?**

Wszystko, co robiła, zdawało się odbijać echem słowa Hillari Kimble: „Ona udaje... Ona udaje...”.

Co noc rozmyślałem o niej, leżąc w łóżku, podczas gdy światło księżyca wpływało przez moje okno. Mogłem zaciągnąć żaluzje, a wtedy w pokoju zrobiłoby się ciemniej i łatwiej byłoby zasnąć, ale nigdy tego nie robiłem. W tej godzinie księżycowego światła miałem poczucie inności rzeczy. Lubiłem to uczucie, które wywoływał księżycowy

blask — tak jakby nie było to przeciwieństwo dnia, ale jego spód, jego druga strona — kiedy bajeczność sunęła miękko po mojej śnieżnobiałej pościeli jak jakiś ciemny kot przybywający z pustyni.

To właśnie którejś nocy przy blasku księżyca uświadomiłem sobie, że Hillari Kimble nie ma racji. Gwiazda nie udaje.